

Makroud

Ciasteczka *makroud* (*makrout*, pisowni jest kilka), były w nicejskim domu starego matematyka składnikiem codziennego menu. Wyglądały jak plastry zrolowanego ciasta, ślimaczki ze smakołykiem w środku. Puste pudełko po „algierskich magdalenkach” oznaczało zakończenie tygodnia mojej pracy przy *le quai des États-Unis* i wizytę w *la pâtisserie orientale „Le Carthage”* na Starym Mieście, przy *5 rue St François*. Spośród wielu słodczy, lista nazw wisiała na murze sklepiku (*zalabia, baklawa, cornes de gazelle, kalbelouze...*), wybierałam tylko *makroud*.

– To przysmak biedaków – mawiał pan X, właściciel pierwszego piętra kamienicy stojącej naprzeciw Promenady Anglików. X twierdził, że nie trzeba być bogatym, by być szczęśliwym. Wystarczy mały jacht, taki, który zmieścił rodzinę, by zamknąć drzwi mieszkania w Nicei i popłynąć do domu w porcie na Majorce.

– Biedacy jedli ciastka ociekające miodem?

– Tak, na inne nie mogłem sobie w Afryce pozwolić.

Smak mieszanki z kaszy manny, daktyli z dodatkiem kwiatów pomarańczy, goździków, cynamonu i miodu pomagał staruszkowi w odtwarzaniu detali utraconego, algierskiego domu dzieciństwa. Ratował przed traumą, pozostałością po wojnie. Podobną rolę pełniły świeże figi z Algierii. Mimo dalekiej podróży, wielu rąk, którymi były dotykane, miałam zakaz ich mycia. Przynosiły ze sobą prawdziwy kurz z Algierii. Matematyk dzielił się ze mną wszystkim, ale przy talerzyku fig nie mógł się opanować. Zjadał je łapczywie, przy ostatnich sztukach przeproszał, że o mnie zapomniał.

Wróciłam do Nicei po roku tułaczki po Korsyce i La Vallée De Chevreuse-Vallées De La Bièvre. Poprzednie wizyty, jedna kilkudniowa u starszej pani z Boulevard de la Madeleine (adres zdradzający skromne warunki, jednak w pobliżu miejsca znanego artystom przyjeżdżającym z Cannes, takich jak Kurosawa i innymi, wymienię tu Césara, ponieważ ładnie wpisał się do książki pamiątkowej nieistniejącej restauracji „Poupon et Marinette”).

Druga wizyta na zaproszenie adwokata szukającego opiekunki dla swojej chorej psychicznie, agresywnej matki. Staruszka mieszkała w Ajaccio. Po rozmowie prawnik zapłacił mi za obiecany nocleg z królewskim śniadaniem na dachu hotelu, z którego oglądałam starówkę i morze. Jednak walka w jego biurze przy *L'avenue Jean-Médecin* o dzień wolny w tygodniu, skończyła się dla mnie włączoną po ulicach Nicei. Korsykanin z kontynentu zaskoczony moją stanowczością nie opłacił mi już obiecanego promu na wyspę. Portier hotelu przechował walizkę i już przed południem spacerowałam po ulicach *la capitale d'hiver*, licząc na cud, telefon z nową ofertą. Doszłam wtedy

przed *Le Regina Palace*, przyglądając się uważnie detalom architektonicznym w chwili, kiedy wchodził do środka elegancki, starszy pan. Zapytał, z jakiego powodu tu jestem. Z powodu Matisse'a, odpowiedziałam. Proszę wejść ze mną do środka. Rozmawialiśmy o historii pływaków artysty i o tym, że temat zanurzenia w wodzie nurtuje mnie od czasu poznania historii Jonasza, poprzez *tomba del tuffatore* z Paestum, której przedstawienie zmarłego jako młodzieńca skaczącego do wody zestawiałam z obrazem *Portrait of an Artist (Pool With Two Figures)*.

Matisse'a fascynował widok wody nawet w małym akwarium. Z okna wynajętego pokoju w Ajaccio ciągnęłam opowieść. Pod oszklonym dachem zabudowanego szkłem parteru hotelu widok czystego lazuru zasłaniał mu budynek hospicjum. Nieznajomy, wyglądający na arystokratę, kiwał głową, bywał na Korsyce i wiedział również o cyklu reliefów *Nu de Dos* artysty, które pomogły mi w opisanu gnijących pleców i złamanego kręgosłupa klientki z Ajaccio. Umierała tam w hospicjum Eugenii. Spacer po *l'ancien hôtel Régina*, kiedy byłam bezdomną w Nicei, uwolnił moją wyobraźnię, wprowadzał w bramy luksusu wszystkich nędzarzy artystów. Pożegnaliśmy się z nieznajomym przy oknach byłej pracowni Matisse'a w pałacu, skąd już było blisko na jego grób. Stałam wtedy jeszcze przed zrujnowaną willą naprzeciw „Reginy”, gdzie jedna ściana domu zdobiona była odlewami płaskorzeźb fryzu panatenajskiego, dzieła nadzorowanego przez Fidiasza, być może częściowo autorstwa artysty skazanego przez swoich rodaków.

Grób Matisse'a, zajmujący dużą kwaterę z oliwką i małym ogródkiem u stóp starej części cmentarza *Cimiez*, był moim ostatecznym celem w trakcie tej podróży. Tu chciałam odpocząć. Poczulałam się tam jak w sadzie dziadków, gdzie łatwo przychodziło mi marzenie o własnym domu. Wspomniałam chłodny Paryż, darmowe *Musée d'Art Moderne*, obrazy *Niedokończony taniec* i *Taniec*. Cierpiałam na ziemi prekursorów impresjonizmu, *La Vallée De Chevreuse - Vallées De La Bièvre* z powodu wilgoci i niskich temperatur na bóle kręgosłupa i opuchniętych stawów. Wrócić do Nicei oznaczało ocaleć. Może tak myślał Sławomir Mrożek. Odzyskać siły na napisanie nowego „marszu na stracenie”, podobnie jak zrobił to Berlioz (Nicea była dla kompozytora miejscem powrotu do zdrowia, gdzie postanowił opisać śmiertelne zagrożenia i stać się we własnym utworze świadkiem swojej egzekucji). Oznaczało spojrzenie w twarz smutnemu muzykowi, którego wizerunek stał w *le Jardin Albert I*.

Spotkanie z córką nowego klienta odbyło się na tarasie kawiarni przy *Le Cours Saleya*, blisko *La maison de Caïs de Pierlas* (gdzie na trzecim, a potem czwartym piętrze w latach 1921–1938 Matisse tworzył w Nicei). Pani pod pięćdziesiątkę o długich blond włosach i figurze nastolatki pojawiła się z córką nastolatką. Łagodny głos i słodki uśmiech ostrzegł mnie przed dobrze opanowaną rolą sympatycznej Francuzki. Znałam zasady gry, ale nie potrafiłam szczebiotać półszepcem, jak ci, którzy najbardziej zaszli mi za skórę. Pani wprowadziła mnie do kamienicy przy *Le quai des États-Unis*. Wyjaśniła, że budynek powstał w 1915 roku na życzenie jakiegś

arystokratki. Zauważyłam herb rodowy nad drzwiami do śmietnika. W starej, drewnianej windzie miałam pamiętać o zamykaniu drzwi. W *foyer*, naszym *Salon de Matisse* (na podobieństwo prawdziwego w *l'hôtel Regina*, nazwanego potem przez artystę swoją pływalnią), wisiały dwie litografie (*Estate of Henri Matisse* i wydawcy Artvalue), ilustracje wycinanek *Nu bleu II* z wiosny 1952, *Nu bleu IV* z tego samego roku, stworzonych dwa lata przed śmiercią artysty.

Fin de la vie de Matisse i końcówka życia ślepnącego klienta X stały się moją codziennością. W czasie spaceru z X odkryłam przy wejściu do sąsiedniego budynku kamienicy (105 Quai des Etas-Unis,) tabliczkę upamiętniającą pierwszą wizytę Matisse'a w Nicei. Mieliśmy z artystą niewiele się różniący widok z okna. Kiedy Matisse zdał sobie sprawę, że w każdy poranek będzie mógł oglądać znów to światło, opisanie własnej radości wydało mu się niemożliwe (*Bridault, 1952, quoted in Henri Matisse, Écrits et propos sur l'art, Paris, Hermann, 1971, s. 123*). Ambitne wyzwanie artystyczne zadecydowało o nieopuszczaniu Nicei.

Córka pana X zapewniała, że w moim pokoju z widokiem na ścianę (remontowaną przez ekipę arabskich robotników) będę mieć spokój. Na trzech balkonach, dwóch salonu i jednym pokoju gościnnego poczuje się jak w teatralnych łóżach z *La Belle Époque*. Będę mogła uczestniczyć w niekończącym się spektaklu odgrywanym na Promenadzie Anglików, zresztą do prawdziwej Opery będę mieć pięć minut. Zabrzmiało to jak recytacja wiersza *Hôtels* Guillaume'a Apollinaire'a, gdzie pokój jest wdową, słychać hałas fiaków, sąsiad pali angielską tabakę i wszyscy mówią językami wieży Babel.

Pan X, mimo że udało mu się przeżyć na frontach wojny francusko-algierskiej, zostać profesorem, czuł się pod koniec życia biedakiem. Co wieczór padał ofiarą wyimaginowanych postaci. Przychodził do niego inspektor edukacji narodowej, żeby upokorzyć go przed studentami. Rzucił wtedy pracę, ale w ostatniej chwili doganiał go dyrektor szkoły, prosząc, by został na swoim stanowisku. Fantomy niektórych uczniów były nieznośne. Miał ochotę ukreślić im głowy. O tak, pokazywał rękami gest wykręcania szmaty. W nocy dobijało się do drzwi wejściowych pałacu, obitych od środka blachą, dwóch mężczyzn. Prawie głuchy słuchał ich rozmów za kilkoma zamkami drzwi. Widziałam w nim wtedy Beksińskiego, który cierpiał na podobną słabość w Warszawie.

W Nicei to byli ci sami żandarmi, ludzie wojny, którzy przyszli po niego w dniu jego wesela z piękną Majorkanką. Skuli go jak bandytę w kajdanki, zawieźli do aresztu. Poznał wtedy w celi towarzyszy niedoli, pacyfistów z cyrku, clowna i gimnastyka powietrznego, *un trapéziste*. Clown próbował grać żołnierza, rozśmieszając załamanych więźniów. Przedstawienie wyobrażałam sobie tak, jak przedstawił to w adaptacji opowiadania Henry Millera *Uśmiech u stóp drabiny* Henryk Tomaszewski. Trójka kolegów otrzymała hełmy i karabiny maszynowe. Cyrkowcy i X nie mieli żadnego przeszkolenia wojskowego. Dezerterów przyłączono do grupy żołnierzy i

rozdzielono do dwóch samolotów. Każdy otrzymał spadochron. Niestety X i clown, dwóch przyjaciół, nie miało pojęcia o używaniu spadochronu. Clown o imieniu Gustave wiedział tylko, że trzeba wyciągnąć z paska zawleczkę, pokazał ją X, ale nie miał pojęcia, w jakim momencie trzeba ją wysunąć. Wyszkoleni chłopcy na rozkaz dowódcy znikali w chmurach algierskiego nieba. Clown i X pamiętali z tego skoku tylko strach. Spadli za szybko, stracili przytomność w głębokim śniegu w górach. Przemarznięci, odnaleźli się w szpitalu, uratowani przez cudzoziemską armię oczyszczającą teren z trupów. Z sześćdziesięciu czterech żołnierzy pozostali przy życiu tylko oni, clown i X. Reszta, spadająca wolniej niż dezerterzy została zastrzelona przez algierskich partyzantów. Dowódca źle odczytał mapę. Zamiast do obozu Francuzów rozkazał im skakać na teren algierskich partyzantów. Sam nie wyskoczył z samolotu.

X staruszek tracił słuch, wzrok, rozum i cierpliwość. Rysowałam go czasem, mając w pamięci oczy z czerwonymi spojówkami z autoportretu Laurence'a Stephen Lowry'ego. Patrzył się na mnie bielmem prawego oka i martwym, z powodu zaniedbanej jaskry, lewym. Była w tym spojrzeniu cała jego opowieść, podszywanego się pod własnego ojca, również walczącego w Bir Hakeim. Ojca X znałam tylko z jednej fotografii, reklamującej jego zakład mechaniczny. Siedział w meloniku i garniturze za kierownicą samochodu hamowanego przez leżącego pod kołami rozczochranego, arabskiego chłopca w łachmanach. Dziecko podtrzymywało ręką koło, patrząc smutnymi oczami w stronę fotografa.

X pochodził z francuskiej rodziny kolonizatorów, należał do drugiego pokolenia *les pieds-noirs*. Jego dziadek dostał algierską ziemię od Francji za zasługi militarne. Algieria była krajem, w którym X nauczył się chodzić, mówić, liczyć po arabsku i francusku, pisać, polować, dosiadać nieosiodłanego konia. Geometria, jego ulubiona dziedzina nauki, wpisana była w nazwę miasteczka na przedmieściach stolicy: *Maison-Carrée*. Kwadratowy Dom, pierwotnie osiemnastowieczny fort turecki („fort przy moście”), przebudowany w czasie francuskiej kolonizacji, zmienił swoją funkcję, dając dach nad głową osadnikom, którzy przekształcili okoliczne bagna w farmy. Rzekę *Arrach*, jej nazwa służy dzisiaj również jako nazwa miasteczka, w szlak wodny łączący *Maison-Carrée* z francuskimi portami na kontynencie. Zwierzęta, przede wszystkim owce, kozy, sprzedawane były na *Marché aux Bestiaux*, ładowane na statki odpływające w kierunku Marsylii. Miasteczko posiadało boisko sportowe jako spuściznę polityki Napoleona III, który dbał o kondycję fizyczną młodzieży w celach militarnych, i koszary (w 1962 roku powstanie tam Wojskowe Centrum Wychowania Fizycznego Algierii).

Przyszły konstruktor zegarów był ambitnym piłkarzem, wybranym w drodze selekcji do eliminacji do reprezentacji Francji. Dzięki piłce nożnej przyplłynął do Nicei, by rozwijać tu swoją sportową karierę. Niestety kopnięcie przez kolegę w kolano uniemożliwiło mu uprawianie sportu.

Musiał wrócić do Algierii, do swoich kabylskich nauczycieli matematyki, którzy doprowadzili go do dyplomu wyższych studiów, za co do końca życia był im wdzięczny.

Na krajobraz Kwadratowego Domu składały się wielkie budynki kaplicy i klasztoru św. Józefa, gdzie misjonarze Afryki, „biali ojcowie” (nosili białe burnusy, tradycyjny strój Berberów, wśród zakonników byli Kabylowie *lpapas*), dbali o morale młodzieży francuskiej, arabskiej i żydowskiej. Ojciec Clément wyhodował w klasztorным ogrodzie w 1902 roku pierwsze klementynki, rozpowszechnione potem w całej Algierii. Miejscomi podchodzili jednak do tego miejsca z rezerwą, historie molestowania seksualnego naznaczyły kilka pokoleń. Namiestnik papieża, założyciel instytucji, miał nieograniczoną władzę i postrzegany był przez wielu jako osoba prawie święta. Niestety: „lubił małych chłopców, dziewczynki go nie interesowały”, wyznał zgorzkniały ateista. Wiara naiwnych ludzi jest potrzebna zbrodźcom, żeby mogli uprawiać swoje orgie, mawiała wcześniej pobożna babka matematyka, która opuściła kościół, dając wnukowi możliwość dojrzewania zgodne z prawami natury. Obawiała się jedynie, kiedy nieosiódłany koń galopował z dzieckiem za szybko.

Mały jeździł wzdłuż wybrzeża, trzymając się uszu lub długiej grzywy ogiera Tornade, który niekażdemu pozwalał na zaszczyt siedzenia na swoim grzbiecie. Zwierzę, objęte w czasie wojny z Hitlerem obowiązkiem służenia armii, zostało zabrane przez angielskiego żołnierza. Broniło się dzielnie przed wstąpieniem do armii. Anglik przed wykonaniem rozkazu zrzucany był z siodła kilka razy. Oddawaliśmy z X cześć pamięci Tornade’a w czasie spaceru, przechodząc przy *Carrousel Palace 1900 NICAEA*. Karuzela ustawiona była w parku przy Pomniku Stulecia w Nicei. Nie wiem, czy dostrzegął w niej koniki dla dzieci, wiedział, że tam istnieją. Robiliśmy kilka okrążeń białego i czarnego araba, potem podchodziliśmy do pomnika, do płaskorzeźby leżącej nagiej dziewczyny, alegorii Nicei, by pogłaskać jej łokieć wsparty na starożytniej, przewróconej wazie, z której wylał się strumień wina. Staruszek X dosiegał prawej piersi, pośladków i stóp Nicei. Podnosząc rękę do jej twarzy, dotykał jej usta i czubek nosa. Oczy były za wysoko. Odór moczu pod Niceą (pomnik zasłaniał sikających przed oczami przechodniów z Promenady Anglików) nie pozwalał na dłuższy kontakt z kamienną niewiastą.

Wspólna wyprawa wąskimi uliczkami starówki po *makroud* była ostatnią X w tym celu. Chciał być moim przewodnikiem po swojej Nicei. Pytałam, czy zna drogę. Tak, to moja dzielnica, dojdziemy na pewno. Ale wszystko mu się mieszało, przechodziliśmy kilka razy wokół tego samego kościoła, tunezyjskiego sklepu nie było na naszej drodze. X kazał mi zaczepiać ludzi i pytać o sprzedawcę *makroud*. Sam podszedł w katedrze do turysty z Ameryki, który pokiwał przecząco głową. Dopiero Arab zamiatający ulicę wyjaśnił nam trasę. Wspinaliśmy się, schodziliśmy w dół. W końcu dotarliśmy do małego sklepiku, gdzie uśmiechnięty chłopak o śniadej skórze i czarnej brodzie podał nam pudełko ciastek. X siedział przy stoliku, słuchając rozmów

Arabów, uśmiechał się, był szczęśliwy. Opowiadał o zabawach z arabskimi chłopcami. Wbiegali od czasu do czasu do skromnych domów tubylców. Kobiety ojców kolegów miały oddzielne pomieszczenia. Najczęściej rządziła młodszymi pierwsza żona Algierczyka. Niektóre się lubiły, inne nienawidziły. Matki kolegów X częstowały chłopca domowymi posiłkami. To było pyszne jedzenie.

W ulubionej grze w chowanego szukającym był pies Pax. „Pokój” na polecenie odwracał się od ściany i znajdował każde dziecko, popisując się znajomością wszystkich imion uczestników zabawy. O świcie chłopcy biegli nad rzekę, gdzie pracowali rybacy. Za pomoc w wyciąganiu sieci otrzymywali zapłatę w postaci ryb. Były dni, kiedy mogli czuć się w swoich domach jak żywiciiele rodziny. Babka bohatera lubiła *le rouget*. Arabscy rybacy wiedzieli, że temu chłopcu trzeba zapłacić czerwonymi rybkami, które uchodzą za jedne z najsmaczniejszych ryb morskich. Mają jednak tendencję do szybkiego psucia się, dlatego prosto z plaży trzeba było biec do domu, żeby w południe konsumować swoją zdobycz.

Przy arabskim stole X przypomniał sobie obrządek w grupie wyznaniowej swojego dziadka, twórcy religii, w której Bóg kochał tak samo Francuzów, jak Arabów, a nawet Żydów, wszystkich na ziemi niezależnie od koloru skóry. Dziadek przyjmował zagubione dusze i udzielał im rad. Kiedy umarł, Arabowie przynieśli na pogrzeb w darze owce i kozy, przez dom przewinęły się tłumy. Niestety wiara, którą wymyślił, zniknęła razem z nim.

Wieczorem przy stole w kuchni X wypowiadał na swój sposób myśli z *Publicznej spowiedzi* Préverta: *Nous avons tout mélangé, [...] Nous avons perdu notre temps, / c'est un fait, mais c'était un si mauvais temps*. Wokół pojemnika z kremem waniliowym, który był masą Francuzów i Anglików, X zakreślił zaminowane pole, dalej byli Niemcy, wokół deseru, na całym blacie stołu z Majorki, ale miny ocaliły dzielnych obrońców Bir-Hakeim. Chwilę później przez pole minowe szedł listonosz Kabyl. Nazywał się Said Dżidi. Przeprowadził przez zaminowaną ziemię X, jego rodziców, całą grupę cywilów. Anglicy dali mu medal, ale Francuzi śmiali się z dekoracji Kabyla. Rasiści ginęli od wystrzałów z palca X, podobnie jak de Gaulle. Zwyciężała *Pieśń koła młyńskiego* w wykonaniu Taos Amrouche i natura, która na wzór rzeźby Ernesta Barriasa odsłaniała nagie ciało z szat wykonanych z różnorodnych kamieni algierskich kamieniołomów. Z rozkazu dowódcy, znajomego de Gaulle'a, zginął kabylski chłopiec. Zrzucany z francuskiego samolotu, dlatego że był Kabylem, mimo iż służył po francuskiej stronie. Potem X składał rozpiłowane na pół ciała, porzucone na ulicach, wracał do Francji, gdzie właśnie był strajk kolei i w Marsylii musiał wziąć autostop do Nicei. Wchodził do mieszkania, drzwi otwierała mu żona. Widziałam go w tej scenie jako Przybyszewskiego, który opisywał w pracy *Stanisław Wyspiański: dzieła malarzkie* swój powrót do Krakowa: „To było moje pierwsze wrażenie, gdy po dziesięcioletnim pobycie zagranicą przybył wreszcie do Krakowa – do Polski i na samym wstępie otrzymałem od Artura

Górskiego egzemplarz *Legendy* – podobno piąty z całego nakładu, który nietknięty piętrzył się w ubikacji redakcji «Życia»”.